



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## ESTETYKA BARW

skreślił

HENRYK STRUVE.

### Znaczenie estetyczne barw wogólności.

Nawyknienie jest jedną z największych potęg, jakie rządzą naszym życiem umysłowym. Do czego przywykamy, to staje się naszą drugą naturą i wywiera wpływ stanowczy na dalszy bieg naszych myśli, uczuć i dążeń. Wzbogaca ono umysł nasz nową treścią, wdraża go do lekkiego, niejako mechanicznego, odbywania różnych czynności, a przez to przyspiesza tętno życia wewnętrznego, nadaje mu więcej swobody i pewności siebie. Świadczą o tem: wychowanie, wykształcenie i wszelka wogóle nauka, opierająca się głównie na nawyknieniu do pewnego sposobu myślenia, do pewnych wrażeń, nawet do pewnego typu objawienia nazewnątrz tej treści umysłowej, zapomocą ruchów.

Z drugiej jednak strony nawyknienie jest, niestety, zarazem i szkołą *bezmądrości* — niema bowiem światła bez cieniów. Wskutek nawyknienia rzeczy wydają się nam tak prostymi, tak naturalnymi, że się nad nimi wcale bliżej nie zastanawiamy, że samo pytanie: dlaczego rzeczy tak się mają? — sprawia nieraz wrażenie dziwaczne, a przeniesienie się na stanowisko wprost przeciwne w porównaniu z tem, do jakiego przywykliśmy, przedstawia się nam często jako szczyt fantastyczności. A jednak tylko przeciwstawność i porównanie wyrwywają myśl z objęć mechanicznej rutyny i zmuszają nas do zdania sobie sprawy z naj-

prostszych napozór rzeczy. Ztąd też wynika, że wszelkie głębsze zastanowienie się nad rzeczami, polega na wyzwoleniu się myśli z pod wpływu codziennych nawyknień — na pytaniu: dlaczego świat, dzięki nawyknieniu, przedstawia się nam takim, jak go widzimy, a nie innym?

Uwagi te nasuwają się nam bezpośrednio, gdy mamy mówić o *barwach*, o ich udziale w bardzo prostym fakcie, że się nam świat *podoba*, że wywołuje na nas wrażenie *estetyczne*, bo upodobanie nasze w świecie, a mianowicie w barwach całej mnogości jego szczegółów, wskutek nawyknienia, wydaje się nam tak naturalnym i prostym, że się zazwyczaj nad niem bliżej nie zastanawiamy: dlaczego oddajemy pierwszeństwo jednym barwom przed drugimi, jednej kombinacji barw przed drugą; dlaczego wogóle przedmioty ubarwione lepiej się nam podobają niż bezbarwne?

A jednak wyobraźmy sobie świat, choć na chwilę, jako pozbawiony wszelkich barw; przypuśćmy, że istnieją tylko: światło i cienie; że najjaskrawszy zachód słońca da się wiernie odtworzyć zapomocą czarnego ołówka na białym papierze, a najpiękniejsze toalety balowe naszych pań mogą być należycie scharakteryzowane za pośrednictwem zwyczajnych drzeworytów, bez dodatków kolorowych; że wszystkie kwiaty sprowadzają się wyłącznie do różnych kształtów w różny sposób cieniowanych, a ludzie, z którymi się spotykamy, podobni są w rzeczywistości do owych bezbarwnych wizerunków, jakie z nich fotografowie zdejmują.

Czy to nie przypuszczenie straszne, fantastyczne, wobec którego ten świat uśmiechający się do nas całą pełnią swych barw, przyjmuje odrazu charakter ponury, grobowy, wydaje się nam zimnym, martwym, strupieszalym, jakby pokrytym śmiertelną bladością, która nas przestrasza i odstrasza?

Przypuszczenie to jednak nie jest zbyt przesadnym, bo odwołać się możemy do faktów, wpra-

wdzie wyjątkowych, ale zawsze niewątpliwie istniejących, w których to przypuszczenie staje się prawdą rzeczywistą. Wiemy bowiem o ludziach pozbawionych zdolności odczuwania *barw*, którym tedy świat wistocie przedstawia się w sposób powyżej zaznaczony. Są to ludzie dotknięci *ślepotą barwną*, zwaną zazwyczaj *daltonizmem*, od znakomitego angielskiego chemika *Daltona* (zmarłego 1844), który to kalectwo na sobie spostrzegł i szczegółowo opisał. Objawy tego rodzaju nie są zbyt rzadkie i przyjmują charakter, bądź ślepoty częściowej dla pewnych tylko barw, a szczególnie dla *czzerwonej* i *zielonej*, bądź też zupełnej ślepoty barwnej, wskutek której dotknięty nią nie widzi bezwzględnie żadnych barw i ulega wyłącznie tylko wrażeniom światła czystego (biało-żółtawego) i ceniom.

Dość tedy oderwać się w myśli od owego barwnego obrazu, w jakim się nam świat wskutek nawyknienia przedstawia, i wyobrazić sobie, choć na chwilę, że jesteśmy dotknięci ową ślepotą barwną, że barw dla nas wcale niema, aby nabrać pojęcia o całej ich doniosłości dla naszego zwyczajnego poglądu na świat, o ich ożywym wpływie, nie tylko na nasze oko, ale i na nasz umysł, na całe nasze usposobienie do życia.

Kto wie: czy niebo nie budzi w nas tak głębokiej tęsknoty dlatego właśnie, że jest błękitnem, a gwiazdy czy się nam nie podobają dlatego tylko, że posiadają blask uroczy? Kto wie: czy byśmy się zachwycali najpiękniejszymi krajobrazami przyrody, szczytami gór niebotycznych, lasami i łąkami, ścielącymi się do ich stóp, widokiem bujnych łąków, cichych wiosek i dolin, przerywanych strumykami, — gdyby to wszystko nie przedstawiało się nam w barwach różnorodnych; gdyby śnieżne szczyty gór lub ponure skały nie rysowały się na błękitnem tle nieba i nie wyróżniały się dobitnie od zieloności okalających je lasów i łąk; gdyby barwne domki i kościołki i srebrzyste wstęgi rzek nie ożywiały widoku roz-

ległych dolin? Kto wie: czy róża wydawałaby się nam tak urocą, gdyby nie była różową, a lilia tak czystą, gdyby nie była białą? Jakżeby się nam przedstawiały najwspanialsze utwory sztuki malarskiej, zawieszane na ścianach najznakomitszych galerii świata, gdyby były podobne do zwyczajnych litografii, a obicia i meble, sprzęty i sprzęciki naszych mieszkań, czemżeby były dla oka, gdyby się pomiędzy sobą różniły wyłącznie tylko kształtem, a zresztą były zupełnie do siebie podobne, jedne w drugie mdłe, białawe i szarawe? Kto wie: czyby się nam podobały nawet nasze najpiękniejsze panie, gdyby były posągami bezbarwnymi, choćby najkształtniejszymi i przytem najruchliwszymi, ale pozbawionymi owych czarujących oczów czarnych lub niebieskich, owych włosów kruczonych lub złocistych, owych opiewanych usteczek koralowych, owego rumieńca, i wogóle owej cery delikatnej, którą tak trafnie porównano z połączeniem dwóch życiodajnych płynów, najszlachetniejszych wytworów organizmu, krwi i mleka?

Nie myślę się bynajmniej dalej zastanawiać nad urokiem, jakiego naszym paniom dodaje ubiór gustowny, odpowiednie spożytkowanie barwy sukni, wstążek, kwiatów, drogich kamieni i wszystkich innych akcesoriów eleganckiej toalety damskiej. Powiem tylko, że to wszystko nie miałooby dla nas, a szczególnie dla samych pań, ani połowy uroku, gdyby nie właśnie barwy owych jedwabów i aksamitów, adamaszków i kaszmirów, płócienek i perkalików, owych pereł i koralów, brylantów i turkusów, opalów i granatów, wreszcie samego złota i srebra.

Nawet w gastronomii barwy odgrywają rolę pierwszorzędą, jak o tem dobrze wiedzą nasze gospodynie. Najsmaczniejsza potrawa nie podniecałaby naszego apetytu, lub nawet wywoływałaby w nas wrażenia wstrętne, gdyby miała barwę niewłaściwą. Szczegółowe rozwinięcie tej uwagi pozostawiamy jednak chętnie fantazji smakoszków.

\* \* \*

Powyższe przykłady zdaje się, że lepiej charakteryzują estetyczne znaczenie barwy, niż wszelkie definicje abstrakcyjne. Bo cóżbyśmy mogli więcej powiedzieć w tym względzie, nad owe faktyczne dowody, wykazujące w sposób naoczny, czem są wistocie barwy dla naszego wzroku? Potrzeba tylko skupić owe faktyczne dane w jeden pogląd ogólniejszy, sprowadzić je do wspólnego mianownika, aby z całą jasnością uprzytomnić sobie udział, jaki barwy przyjmują w naszych upodobaniach estetycznych <sup>1)</sup>.

Otóż barwa urozmaica, ożywia, wzmacnia i podnosi wrażenie, jakie odbieramy, zarówno od każdego pojedynczego przedmiotu, jak i od łączności ich i ustosunkowania. Bez barwy świat byłby dla nas pogrążony w bezwzględnej monotonii światła i cieniów.

Barwa uwytadnia dopiero znajdzie kształty przedmiotów, dodaje im wyrazistości siły, charakteru. Bez niej wszystkie rzeczy spływałyby dla naszego oka w jedną nieokreśloną całość, nie wyróżniałyby się wzajemnie, nie zaznaczałyby swej odrębności.

Dopiero przy udziale barwy występują na jaw utajone własności przedmiotów i przybierają w oczach naszych znaczenie typowe, indywidualne, dające nam możność dokładnego ocenienia ich wartości wewnętrznej, zespolenia z niemi naszych własnych osobistych uczuć i dążności.

Ztąd pochodzi symboliczne znaczenie barw, w skutek którego barwa biała jest dla nas symbolem czystości i niewinności, zielona—nadziei, różowa—życia i wesołości, a czarna—przeciwnie, wyrazem powagi, smutku i żałoby. Barwa budzi, dalej, nasze zajęcie dla przedmiotów, zatrzymuje na nich naszą uwagę, przyciąga i ściąga nas i zarazem zadawała, odsłaniając przed nami całą mnogość różnorodnych własności świata, całą ruchliwość i różnaitość zewnętrznych przejawów tych własności. Ona jest niejako mową martwej natury, jej żywym objawieniem, przemawiającem do nas w sposób równie zrozumiały, jak uroczy.

Barwa wreszcie ogrzewa przedmioty w najistotniejszym znaczeniu tego słowa, bo jej natura fizyczna łączy się ściśle z ciepłem i jest w gruncie rzeczy jego spotęgowaniem. Ciepło w wyższych stopniach żarzy się, staje się ogniem, płomieniem, wywiązuje z siebie światło, które odbijając się o przedmioty i rozszczepiając swe promienie, wytwarza właśnie różnorodne barwy. Bez barw świat przedstawiałby się nam tedy nie tylko martwym i niemym, ale i zimnym. Imbardziej się wnosimy ku północy, tem przyroda z powiększającym się zimnem, staje się bezbarwniejszą; blask zaś i wspaniałość barw pod gorącym niebem Południa są przysłowiowe. Tożsamo spotrzegamy przy najprostszym porównaniu pór roku. W zimie barwność przyrody spada na stopień najniższy. Przyroda zimą podobna jest do kobiety bladej, schorzałej, przygnębionej starością—odzianej nadto w zaniedbany nieco negliż; podczas gdy wiosna przedstawia ją nam jako dziewczę w kwiecie wieku, opromienioną blaskiem szczęścia, przybraną w najpiękniejsze szaty godowe. Barwa jest w samej rzeczy najwspanialszym strojem przyrody, istnym przyborem świątecznym, podnoszącym na każdym kroku jej powab naturalny.

Dla wszystkich tych własności i zalet barwa jest właśnie jednym z najpotężniejszych czynników estetycznych. Natura i sztuka posilkują się się nią w najrozleglejszy sposób, dla przypodobania się nam, dla wywołania w nas estetycznego zadowolenia. Wszystkie bowiem cechy piękna, jako przedmiotu upodobania estetycznego, skupiają się już w barwach i znajdują w nich swój harmonijny wyraz. Ztąd też barwy podobać się mogą same przez się, bezwzględnie na przedmioty, którym służą za ozdobę. Na tem polega właśnie cała potęga szkoły kolorystycznej w malarstwie, która wcale istnieć-by nie mogła, gdyby barwy jako barwy, niezależnie od innych czynników estetycznych, nie posiadały dla naszego oka tyle uroku, nie podobały się nam same przez się, bezwzględnie.

Bo czy piękno nazwiemy, w duchu idealizmu, zgodnością formy z treścią, rzeczywistości zmysłowej z ideą, czy też, w duchu realizmu, sprowadzimy je do prostego zbioru rysów charakterystycznych, barwa w jednym i drugim razie czyni za dość tym definicyjom piękna. Widzieliśmy powyżej, że jej nie brak charakteru, że określnością i wyrazistością swoją indywidualizuje, a razem i charakteryzuje przedmioty. Więc też sztuka realistyczna sownie spożytkowuje barwy dla nadania swym utworom jaknajwięcej wyrazu, siły, charakteru. Barwność w rzeczywistym i przenośnym znaczeniu staje się nawet zazwyczaj najdobitniejszym rysem sztuki realistycznej.

Ale wznioślejszy pogląd na piękno, odpowiadający głębszemu potrzebom ducha, jego dążnościom ku harmonijnemu zespoleniu swych ideałów z rzeczywistością, daje się do barw zastosować w zupełności. Barwy nie działają tylko na nasze oko, nie podobają się nam tylko zmysłowo, fizycznie, lecz uderzają zarazem, że tak powiem, o struny naszego ducha i budzą w nim najrozlicniejsze myśli, uczucia, dążności. Wskutek prawa kojarzenia się objawów umysłowych czyli prawa asocjacji, przywykamy do łączenia z pewnymi barwami pewnej treści duchowej, pewnego nastroju lub usposobienia duszy, i znajdujemy w barwach tem większe zadowolenie estetyczne, im bardziej się one zgadzają z tą naszą treścią wewnętrzną, z naszym usposobieniem osobistym, z ideą, która w danej chwili żywiej nas zajmuje.

Przy wesołym nastroju ducha radzi jesteśmy

barwom błyszczącym, może nawet nieco jaśkrawym. Tymczasem gdy pogrążeni jesteśmy w smutku, razi nas wszelka barwa żywsza, unikamy jej, odwracamy od niej oko i szukamy spokoju ducha w otoczeniu bezbarwnem, w ponurej czarności. Sukienka różowa podnosi wdział młodą dziewczeczkę; wywołałaby jednak wrażenie przykre, a co najwięcej komiczne, gdyby się w nią ubrać chciała poważna matrona. Barwa biała nakrycia stołowego i wogóle bielizny, ma głębszą racją bytu w idei czystości, która się z nią łączy i która tylko przy pomocy tej barwy należyćie na jaw występuje. Dlatego też czarne obrusy na stołach jadalnych, lub czarne talerze wywołałyby wrażenie wstrętne, bo nie uwytadniałyby zasadniczego warunku, wymaganego przez nas przy przyjmowaniu pokarmu, to jest czystości. Nawet użycie w tym celu innych barw, np. czerwonej, zielonej, szczególnie w odcieniach ciemniejszych, trąciłoby niesmakiem i dziwactwem. Tylko narody nałogowo-brudne, jak np. Persowie i inni, używają bielizny kolorowej.

Jednym słowem z różnymi barwami łączy się różna treść idealna i dopiero zgodność pomiędzy zmysłową stroną barwy i tą treścią idealną wywołuje w nas upodobanie estetyczne. A że owa zgodność urzeczywistnia się często bezpośrednio w różnych wrażeniach barwnych, więc się nam barwy same przez się podobają, nawet w odosobnieniu od szczegółowych przedmiotów. Przekonać się o tem możemy, spoglądając na paletę malarza, przerzucając różnokolorowe arkusze papieru, lub wreszcie patrząc na najsamodzielniejszy i najbardziej eteryczny wytwór barw: na promień światła przechodzący przez pryzmat i rozkładający się na znane nam dobrze barwy tęczę. Tutaj przedmioty ubarwione, pozbawione są wszelkiej wartości estetycznej, a upodobanie nasze wywołane zostaje wyłącznie przez same tylko barwy.

## NA ŁOŻU ŚMIERCI

(Obraz Jacka Malczewskiego, wystawiony w roku zeszłym w Warszawie).

Matki i siostry miłością,  
I tą trzecią..., co jasnością  
Serce otacza kobiecie,  
Kochałam ciebie na świecie!  
Byłeś w każdej myśli mojej,  
Co do nieba się wzbijała,  
Byłeś w każdej skardze mojej,  
Co nad życiem mem płakała!...  
Byłeś ciszą—ukojeniem,  
Gdy wszystko drżało cierpieniem,  
Złotą gwiazdką na mem niebie:  
Więc też błogosławie ciebie!...

Gdy ziemia mogilna zacięży nademną,  
Gdy wkoło mnie będzie i głucho i ciemno,  
Zapomnij!—lecz o tem myśl z cichą radością,  
Że zmarłam spokojna—z tą czystą miłością.

Kr...

## KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Nie czekał jednak wieczora i wołał przyjsć w takiej godzinie, gdy mógł znaleźć tylko matkę

1) Kwestya estetycznego znaczenia barw od czasów Goethego, który napisał obszernie dzieło w przedmiocie ogólnej teoryi barw, traktowaną jest w każdej znaczniejszej estetyce, a szczególnie w dziełach Vischera (1846—1857); Carriere'a (1859); Eckardta (1865); Lemkego (1865, przekład polski 1872); Köstlina (1869); Fechnera (1876) i wielu innych. Z pomiędzy prac specjalnie temu przedmiotowi poświęconych, zasługują na uwagę dwie następujące: Konrad Hermann „Aesthetische Farbenlehre“, Lipsk, 1876 — rzecz napisana jednak zbyt ogólnikowo, w połączeniu z całym balastem różnych abstrakcyjnych doktryn z zakresu estetyki; Max Schasler „Die Farbenwelt“, Berlin, 1883. Autor stara się wznówić teorię barw Goethego w sprzeczności z nowszą fizyką; pomimo to wywody jego zawierają w sobie wiele danych naukowych. Nadto bogate materiały do naszego przedmiotu, znaleźć można w odpowiednich dziełach fizjologicznych Brücke'go, Helmholtza, Wundta i innych.

i córkę. Z twarzą, na której głęboki smutek mimowoli się piętnował, przestąpił próg tego domu. Upokarzało go to jak słabość, że się przywiązał, że przyrósł do tych pań—których nie miał prawa kochać—dla których był całkiem obcym.

W salonie, gdy wszedł, nie było nikogo, oprócz matki i córki. Zawierska była nieco cierpiącą.

Witano go—jak zawsze, uprzejmie.

—Przychodzę panie pożegnać—rzekł na wstępie.—Niespodziany interes zmusza mnie na czas jakiś opuścić Warszawę.

—Jedziesz pan! na długo?—podechwyciła żywo p. Michalina.—O! to nie dobrze! Pusto nam będzie.

—Pani jesteś nadto łaskawą—ależ to pora gdy salon bywa pełny, jak nigdy.

—Pełny i—pusty!—odparła p. Michalina—sia-daj pan i tłómacz się co go wypędzą?

—Niepodobna się usprawiedliwić—rzekł Horpiński.—Są takie w życiu fraszki, nie warte wspomnienia, a despotycznie ciężące na człowieku. Nie mówmy o tem.

P. Michalina, zrozumawszy, iż się więcej dopytywać nie wypadało—zamilkła.

—Jedziesz pan nadługo?—zapytała po przestanku.

—I na to pytanie odpowiedzieć mi trudno—rzekł Sylwan. Bardzo mi żal opuszczać Warszawę, a szczególnie dom państwa, który dla mnie był prawdziwą oazą. Lepiej jednak nie zbyt się przyzwyczajając do takich rajów na ziemi, kiedy ich na niej tak mało.—Mówił to Horpiński z wielkim smutkiem, panna Michalina milczała.

—Wątpię, żeby opuszczenie Warszawy tak pana bolało—odezwała się znowu po krótkim milczeniu, ale widzę, żeś pan smutny i podrażniony, a przyjaciółom się nie zwierzasz i nie pozwalasz, by się z nim podzielili jego—cierpieniem.... bo pan cierpisz!

Horpiński podniósł oczy na nią.

—Tak jest—odparł spokojnie—cierpię, lecz przywykłem do tego. Od kolebki jest to mój stan normalny, a to, co mnie dotyka, jest takiej natury, że współczucie nawet nie przyniosłoby mi ulgi.

Z obawy, aby się nie zwróciła Misia z nowym pytaniem do niego, Sylwan odezwał się z wesołością nadrobioną.

—A! chciałem oddawna panią zapytać, jak się nowa znajomość—Nitosławski podoba?

P. Michalina minę zrobiła dziwną, spuściła oczy, zadumała się, pomyślała i—rzekła:

—Powiem panu prawdę—więcej się spodziewałam po nim, z tego, co nasz poczciwy Pruszczyk mówił. P. Nitosławskiemu nic zarzucić nie można, jako pięknemu meblowi w salonie—ale jako człowiek, nie wiem czy wychodzi nad przyzwyczajoną i pospolitą mierność; ani źle, ani dobrze o nim powiedzieć nie można. Jest jak wszyscy.

Złośliwie uśmiechał się, słuchając, Sylwan.

—Sąd pani bardzo względny jest i szczerzy—odparł—ale według mnie zanadto poślizgliwy. Nitosławski ma wszystkie wady arystokracji, nie posiadając prawa należenia do niej, i wszystkie przywary średniego stanu. Jest to człowiek niebezpieczny, bo gładki i zręczny—wewnątrz pusty.

Namiętnie dokończył tej charakterystyki Horpiński, i byłby może ją rozwinął obszerniej, gdyby w tej chwili pani Zawierska go nie zagadnęła, tak, że musiał wstać i pójść do niej. Równocześnie matka szepnęła córce, żeby się dowiedziała: co się u babci dzieje, i panna Michalina wyszła, a Sylwan został sam na sam z Zawierską.

Schyliła się ku niemu.

—Chciałam z panem mówić—odezwała się—mam w nim wielkie zaufanie... chcę się go poradzić, jak przyjaciela.

Pan to już musiałeś spostrzedz, że Nitosławski ma zamiar starać się o Michalinę.

—Wszyscy mówią o tem!

Westchnęła Zawierska.

—Partya byłaby doskonała—odezwała się—ale Misi nie podobał się, jak mi się zdaje. Co pan o nim sądzisz?

—Mało go znam—odparł ostrożnie Horpiński.

—A! nie wymawiaj mi się pan, proszę—należała matka.—Ludzie, jak pan, obdarzeni, mają instynkt—obracasz się w tych kołach, w których on bywa. Co o nim mówią? jak go sądzą?

W Sylwanie kipieć zaczynało; chciał się wstrzymać, trudno mu było. Czuł, że gdy mówić pocznie, może powiedzieć zawiele.

Niech mi pani wierzy—odezwał się żywo—nie mogąc dłużej poskromić, że—panny Michaliny instynkt, trafność sądu, powinny to decydować. Jeżeli córce pani się nie podobal, to starczy, aby się z nim pożegnać grzecznie.

—No, ale pan sam, ludzie, co sądzicie?—wtrąciła Zawierska.

—Dla mnie jest antypatycznym—rzekł bez ogródki już Sylwan.—Widzę w nim pospolitego człowieka, bez wielkich zdolności, w towarzystwie rutynowanego, zręcznego; ale nie w nim szlachetniejszego nie umiem dopatrzeć. Lubi się bawić, dobrze jeść i pić, spekulować na koniach. Nie wyprawia orgii, ale z pewnością, wciągnięty do nich, nie miałby siły się oprzeć pokusie. W moich oczach zuchwałstwem się to wydaje, że śmie nawet pomyśleć o p. Michalinie. Niech Bóg bro-ni, aby ona miała paść jego ofiarą.

Mówił coraz goręcej, twarz mu się paliła, biegały oczy. Zawierska słuchała, wzruszona.

—Jeszcze raz powtarzam—dodał—niech się pani z zamkniętymi oczyma zda na sąd p. Michaliny i nie przeciwi jej. Nitosławski ma wszystko, co dla każdej innej panią uczyniłoby go pożądanym—tylko nie dla córki pani.

Zawierska milcząco podziękowała mu, podając rękę, i westchnęła.

—A! mój Boże—odezwała się—jak to trudno dla takiej istoty, jak moja Misia, dobrać parę stosowną a tymczasem lata biegną, trwoga ogarnia.

—O co? P. Michalina jest przy pani szczęśliwą i te lata swobodne będą dla niej pewnie najmil-szem życia wspomnieniem. Na cóż je skracać?

Zawierska zadumała się, nie chciała może wy-spowiadać się z całą szczerością.

—Więc Nitosławski nie jest wcale tym idea-łem—rzekła—o jakim marzyliśmy?

—Daje doskonałe *diners fins*: to niewątpliwa; konie jego wścigowe „Meteor“ i „Azalia“ zyskały sławę na nie jednym turfie; on sam w trybunie Jockey-Clubu, przy stole, w salonie składającym się z nicości, gra rolę wcale piękną; ale to jest klejnot wielce podejrzanego wartości, dla prawdziwych znawców—brylant może, lecz oszli-fowany z dyamentu *du Cap*.

Mówiąc to, Horpiński, zwykle łagodny, przybrał wyraz jakiś namiętny, rozgorączkował się nieco. W tej chwili powróciła p. Michalina, a matka rękę mu ścisnęła, dając znak, aby zamilkł. Wstał Sylwan, chcąc się żegnać, gdy Misia zaprosiła go do blizkiej pracowni swojej, aby się poradzić—mówiła zartobliwie—o zieloność lasu, który malowała zaczynała. Śmiejąc się, poszli razem do atelier.

—Dwa razy w życiu—odezwała się, na próg wstępując, Misia—widziałam pana tak nielitościwym—napierw, kiedyś odsądzał biednego Emila Paczuskiego od—wszelkich towarzyskich jego zalet, dziś drugi raz, gdys Nitosławskiego zgniółł na proch...

Oprócz tego często gorycz czuć w jego sądach o ludziach—jesteś pan takim mizantropem?

Horpiński jeszcze się był nie uspokoił.

—Może w istocie ludzi nie lubię—rzekł—i nie wiele cenię—ale z panią muszę być szczerzym. pójdę dalej; i powiem, że we mnie ta mizantropia być może mimowolną zazdrością. Mam żal do wszystkich głupców, że są szczęśliwi i że się im wiedzie; radbym zamącić ich powodzenie tym, co na nie wcale nie zasługują—przez prostą słabość, bom sam nieszczęśliwy, bo mnie się nie wiodło, bo los mnie skazał na pokutę za grzechy niewłasne.

Powiadam więc sobie: za co oni lepsi być mają odemnie? Bywam zły, bardzo zły... nie taję się z tem.

Słuchając, panna Michalina rumieniła się i bładła. Rada była go ukolysać, uspokoić.

—Panie Sylwanie—rzekła—to jakieś bolesne żarty! Pan nie jesteś tak niesłusznie mściwym—tak nielitościwie gniewnym... musisz mieć serce dobre; fantazyja tylko zrywa się czasem na takie wybryki! Przykro mi było słyszeć to z ust jego.

Horpiński głowę nieco pochylił przed nią.

—Wierz mi pani—rzekł z goryczą, że się nie darmo czernię—i nic nie kłamię. Od dzieciństwa byłem i jestem nieszczęśliwy, bolesć twarzy, ten osad gorzki na dnie duszy, z którego miazmatów rodzą się nienawiści... mizantropia, pogarda ludzi! Innym być nie mogę.

Sam nie mając doli—co dziwnego, że drugim rad-bym ją zepsować... zakłócić?

—A, to okropne!—przerwała Misia—nie poznaję pana, i gdybym nie wierzyła, że to mówisz w chwili rozdraźnienia—żał-by mi go było.

Własne nieszczęście powinno człowieka uszlachetniać, czynić go dobrym, a nie obudzać tę wściekłość i chęć zemsty, która się tylko ślepał namiętnością tłómaczy.

A! fe!... fe!—daj mi pan rękę—uspokój się, ostyg-nij—bądź dobrym, jak byłeś. A teraz spojrz na obraz, czy nie za zielony... Zapomnijmy o innych—ludziach i sprawach... nie ma nic nad sztukę. Człowiek zepsuje płótno, zmarnuje farby, ale się nie dopuści roznamiętnienia. Jeśli się gniewa, to na nieudolność swoją.

Maluj pan—proszę—rysuj zresztą choćby karykatury—ale nie życz źle nikomu.

Mówiłeś, że głuptaszki bywają szczęśliwe; ale cóżby im w życiu pozostało, gdyby nawet tego nie mieli! Rozumnych nagradza za niedolę jasne pojęcie życia... duchowe rozkosze... wewnętrzny spokój—nie mają tamtym czego zazdrościć.

Co pan mówisz na mój las!... za zielony?

—Nie—roześmiał się Sylwan—ale ja może widzę wszystko za czarno. Nuż mam tę chorobę Daltona?... mnie się nawet o farby poradzić nie można.

Zabierał się znowu żegnać.

—Kiedy pan wrócisz?—spytała Misia.

—Nie wiem.

—Uparty!... Słowo, że nazajutrz po powrocie stawisz się u nas...

Sklonił się Horpiński Misia mu podała rękę poufale.

—Nie bądź pan tak tajemniczo nieszczęśliwym. Sądziłam i sądzę, że powinienes mieć siłę do walki z losem.

Odprowadziła go tak do progu.

Horpiński pod wpływem jej głosu i rozumnych rad, powtarzanych ze współczuciem—ostygł znacznie. Pożegnał się nie mówiąc nic, a wyszedłszy na ulicę, począł sobie wyrzucać, że się tak wydał z własnego serca goryczą.

Nadeszła znowu wiosna. Horpiński, raz dostaw-szy się do Rusinowego Dworu, gdy wzburzenie jakie mu tu towarzyszyło—nowy rodzaj życia uśmierzył trochę, zadając sobie gwałt, aby myślą nawet nie wychodzić za granicę małej osady, za chatę swą i koło szczupłe wrażeń i wspomnień, które tu mieszkały—godził się z losem i przeznaczeniem.

Nie chciał tak rychło powracać do Warszawy. Pociągała go tam jedna panna Michalina, do której aż do zbytku się przywiązał—i spostrzegłszy to usiłował zobojeźnić i zapomnieć—zresztą od-strecało wszystko. Chciał nie mieć już do czynienia ani z Nitosławskimi, ani z Paczuskim, ani z tym całym światem, do którego wstręt w sobie wyrobić się starał.

Trudno jest człowiekowi wykształcić się i sta-nąć na pewnej wyżynie ducha i myśli; jest to zawsze stan wyjątkowy; do którego i zdolności i praca jest potrzebną; lecz trudno też, zdobywszy pewne stanowisko powrócić do—zdziczenia, do zdrętwienia takiego, któreby żalu po utraconem nie dopuszczało.

Sylwan usiłował zdziczeć; wmawiał w siebie, że mógłby być szczęśliwszym, przebrany w sier-

mieję, pracując z arobkami, wyrzekając się nauki, książek... tego życia ludzkości, w którym bierze udział każdy człowiek wykształcony.

Były chwile, w których zdawało mu się, iż się już pozbył cywilizacji, poczucia jej potrzeb — sympatii dla niej — lecz z następnym dniem wracała tęsknica. Brakło mu książki, rozmowy, ludzi, form pewnych — i gorczył się zwiększała.

Matka, która czytała w jego duszy, ile razy stan ten przeczuła, wyprawiała go do miasta — tym razem Sylwan jechać nie chciał.

Udawał zajętego, wesołego, po całych dniach nużył się fizycznym trudem, pomagając Harasymowi w robotach, wieczorami słuchał śpiewającej Pynki, matki, która się nią bawiła, jak dzieckiem, spał potem snem zmęczenia, — ale marzenia go nawiedzały nieznośnie.

Widział się w nich we fraku i białych rękawiczkach w salonach warszawskich, grającym rolę mizantropa, a obudzony się, wdychał mimowolnie za snem rozpięchłym.

Czasami nawiedzało go widmo Misi, zapytując: czemu nie powraca?

Lecz po co było wracać? Na zaręczyny tego nieznosnego Nitostawskiego, na niedorzeczną walkę z młokosem Emilem?

Wiosna na wsi trochę rozbiła myśli smutne; nawet ci, co ją przez pół wieku widywali powracającą, co znają wszystkie zwykłe fenomena tego widowiska przyrody, nie mogą się oprzeć wrażeniu, jakie ono czyni. Sylwan się znacznie uspokoił i pogodził ze swym losem.

Wostatku i to dziecko — sierotka, dziewczę ukraińskie, pieszczone przez matkę — potrafiło go zająć sobą. Była to druga wiosna, rozwijająca się także w oczach jego.

To, co przyniosła z sobą i czego się tu uczyła — nowe życie, lepszy byt, składały się na rozwinięcie istoty, o której nie było jeszcze można powiedzieć: czy rozkwitnie różą, piwonią czy makiem?

Horpyna matka dostrzegała w niej nadzwyczajne zdolności, Tatiana była zachwyconą, obie ją psuły; Sylwan lubił, ale czasem drażnił i trochę się ostro obchodził.

Matka mu to wyrzucała.

— Nie trzeba pieścić nikogo — odpowiadał — a najmniej tych, którym los niewiele obiecuje na przyszłość. Któż wie: co ją spotka?... będzie więcej cierpieć, gdy się jej teraz nadto życie zasłodzi.

— Niech-że ma choć poranek jasny! — odpowiadała stara.

Jednego dnia, gdy przy posiewach wczesnej jaryzyny stał na koniu Horpiński, — wózek pani Bończyny się ukazał na drodze. Poznała go i zaczęła chustką dawać znaki, aby się zbliżył.

Sylwan podjechał.

Był ubrany, jak zwykle na wsi: w prostej siermiędze, w całym stroju chłopskim, ale pięknemu mężczyźnie ubiór ten dodawał oryginalności, nie szpecąc go wcale.

— Słowo daję! — zawołała, widząc zbliżającego się, wdowa — że panu bardzo pięknie w sukmanie!

Myślałam, że mnie odwiedzisz — powracam właśnie z Warszawy. Pana tam oddawna nie było. Mogłabym coś powiedzieć o znajomych, ale na gościńcu — ani słowa. Chcesz się czego dowiedzieć? przybądź do mnie!

Horpiński podziękował.

— Nuż u pani gości zastanę? Nie lubię nowych znajomości.

Pan i stare nie bardzo cenisz — przerwała Bończyna. U mnie tak jak nikt nie bywa.

Przerwała sobie głośnym śmiechem.

— Nie chcę kłamać — rzekła. — Mogłbyś się pan spotkać wistocie u mnie z Emilem Pacuskim. Od czasu jak-eś mnie pan o nim — jakby to powiedzieć?... ostrzegł? — obchodziłam się z nim zimno, i starałam pozbyć. Wystaw pan sobie, iż to miało tylko ten skutek, że jest natrętniejszym, niż kiedy.

— A dla mnie spotkanie z nim byłoby nieznośnym — rzekł Sylwan — wolę się wyrzec nowin

warszawskich, niż narazić na p. Emila. Nastąpić na żabę: zawsze jest rzeczą nieprzyjemną.

— Przecież dziś *à point nommé*, nie podobna, by przyjechał — odparła wdowa filuternie. — Przybawaj pan na herbatę... proszę.

I kazała woźnicy popędzać, a Sylwan wrócił do siewaczy.

Ciekawość go ciągnęła do Brzózek.

— Choćbym nawet miał się spotkać z Emilem — rzekł sobie — zniosę go.

W Brzózkach nie było nikogo, oprócz matki i córki.

Strój piękny pani Bończyny dowodził, że na gościa tego rachowała, i że nie zupełnie był jej obojętnym... wyszła śmiejącą się, wesołą, ożywiona i poprowadziła go do matki.

Sędzina zaczęła rozpytywać o gospodarstwo. Horpiński niechący się ożywić; chmury mu zeszyły z czoła. W tym dworku wdowim tak jakos było cicho, swobodnie, dobrze, atmosfera otaczała go tak łagodna — iż i w niej czuł się odżywnym.

Gospośnia przysiadła się do niego.

— Wiem to, że dla moich niepięknych oczu pewnie — byś pan nie przyjechał do Brzózek, że cię wy jesteś coś się dowiedzieć o losie Michaliny, o innych znajomych?... nieprawdaż? Będę wspinałomyślną i nie ani skłamię, ani zataję.

Wiesz pan — ciągnęła dalej — że Michalina tej zimy miała mnóstwo natarczywych adoratorów. Ma ona ich zawsze, ale w tym roku!!!

— Pan Waclaw Nitostawski — wtrącił Sylwan. — Z ust mi go pan wyjąłeś — mówiła dalej Bończyna. — Naturalnie, stał na czele.

Zatrzymała się chwilę wdowa.

— Zgadnij pan co się stało? — rzekła.

— Został przyjęty — odparł Sylwan ponuro.

— Nie — odprawiono go — roześmiała się Bończyna — i, cała Warszawa temu wydziwić się nie może. Nazywają tę kochaną Misię dziwaczką. Wistocie zarzucić nic nie można Nitostawskiemu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE

Paryż w Kwietniu i Maju 1881 r.

Obchód w Kolegium Francuzkiem z powodu umieszczenia medalionu Mickiewicza, Micheleta i Quineta. — Mowa p. Renana — nasze wystąpienie. — Śmierć p. Jana Chrz. Dumasa i de Leuvena. Wspomnienia biograficzne. — Głos Szweda p. Brocha, na śmierć Dumasa. — Historia rodzinna i zawód dramatyczny Leuvena; jego rys charakterystyczny i śmierć smutna. — Pamiętniki barona de Vitrolles'a. Kilka słów o autorze. Tom II-gi, ciekawe szczegóły o Chateaubriandzie. Potrzeby pieniężne. — Nowe wydanie dzieła Augusta Cieszkowskiego „Sprawy ekonomiczne.“ Ocenił przez Leona Say w Akademii Nauk Moralnych i Politycznych.

(Dokończenie).

Jak wszyscy sceptycy tego rodzaju, stetryczał na starość — a kilka lat temu, straciwszy żonę, którą uwielbiał, bezdzietny, znudzony i jakby zmęczony długim życiem, umarł samotnie, prawie zagłodzony dobrowolnie; była to ostatnia smutna oryginalność tego człowieka — umarł i całą swoją fortunę zapisał Dumasowi (synowi). Gdy patrzy się na ten koniec przybysza z dalekich, północnych krajów, mimowolnie cisną się do myśli wspomnienia ojczystej ziemi, i tej straszliwej tragedii, w której ojciec jego niegdyś miał udział. Kto wie? co się ukrywało pod tą zasłoną dowcipu i ironii przez lat tyle? Może była to maska tylko, z owego strasznego balu, noszona dla obcych. Kto wie? Gdyby nie ta, straszna rodzinna tragedia — czy ten człowiek nie byłby przeszedł — nieznanym wcale!

Te wspomnienia o zmarłych prowadzą nas ku jednej z wielkich postaci przeszłości, czy ku jednej z postaci wielkiej przeszłości — wywołanej na scenę pamiętnikami współczesnego świadka. W drugim

tomie świeżo ogłoszonych pamiętników słynnego barona de Vitrolles znajdujemy wśród innych ciekawych szczegółów, zajmujące wspomnienia o Chateaubriandzie. Wiadomo wszystkim, jak ważną rolę odegrał ów baron w ostatnich chwilach upadającego Cesarstwa Napoleona I-go i w epoce Restauracji. Ale, aby zrozumieć lepiej całą wartość pamiętników tego człowieka, musimy tu koniecznie powiedzieć słów kilka o samym autorze.

Urodzony w r. 1771, młodo bardzo baron de Vitrolles wyemigrował za Ren, gdzie w szeregach księcia Kondeusa popisywał się dość świetnie. Jednakże baron wówczas już był to człowiek praktyczny. Po 18-m *Brunaire'a* wrócił zaraz do Francji za protekcją Bernadotte'a, który dawniej był jego nauczycielem fechtunków! Wkrótce baron otrzymał od rządu dobrze uposażoną, choć mało znaczącą, posadę inspektora rządowych *owczarni* i został jednym z gorących adherentów Cesarstwa; ale że był ambitny, ruchawy, obrotny i śmiały — pełen taktu i zimnej odwagi — to miejsce *owczarza* nie wystarczało mu bynajmniej. Potrzebował czegoś więcej i gotów był zawsze się odważyć, choćby i na pełną niebezpieczeństw sprawę.

Nadeszła wreszcie ta chwila — i okoliczność oczekiwana się nadarzyła. W r. 1814, kiedy Francja, zalana wojskami sprzymierzonych, miotana się w strasznych przełomach; kiedy Paryż burzył się już w głębi, podszczuwany przez stronnictwo Burbonów — p. de Vitrolles nie wahał się ani chwili, czując zbliżający się koniec — przekroczył linie bojowe sprzymierzonych, jako agent Bourbonów, dotarł do *Monsieur* (później Karola X-go), a przez niego do koronowanych dowódców, szczególnie zaś do Alexandra 1-go cesarza w Vitry-le-Français, i skłonił ich do szybkiego i niezwłocznego marszu na stolicę Francji: był więc jednym z najczynniejszych agentów Restauracji, jednym z tych, którzy przyspieszyli upadek cesarstwa we Francji — i usługi, jakie oddał w pierwszych chwilach powrotu rodziny królewskiej, zjednały mu osobistą przyjaźń du *Monsieur*, brata królewskiego.

Ale był on w gruncie *intruzem*, niepowołanym od nikogo do dzieła; a rola zuchwała i gwałtowna, którą odegrał w głównej kwaterze sprzymierzonych, w Vitry-le-Français, napiętnowała go zbyt jaskrawo jako *odstępce*. Restauracja więc i król Ludwik XVIII-ty, pomimo wdania się księcia d'Artois, brata królewskiego — nie wynagrodzili dostatecznie tego poświęcenia. Zostawiono go — jak sam powiada z goryczą — *na drugim planie*. Ztąd więc pochodzi, że w tych pamiętnikach barona mamy ów ślad, *vestigia irritae spei*, i że spotykamy niejedną, pełną cierpkości uwagę o wypadkach i ludziach współczesnych autorowi.

W tym drugim tomie, wyszłym tylko-co z druku, znajdujemy niektóre, bardzo charakterystyczne szczegóły o Chateaubriandzie, dotyczące się jego znanej a niewyczerpanej potrzeby pieniądza.

„Po roku 1815 Chateaubriand, mianowany członkiem Rady królewskiej, (*conseil privé*), Ministrem Stanu, Parem Francji, był na najwyższym szczeblu wziętości i zaszczytów; ale, powiada p. de Vitrolles, próżność znakomitego pisarza nie mogła się zadowolnić, tym rodzajem usunięcia na stronę, chociaż z oprawą w złoczone ramki (kociół garnekowi przygania). Ponieważ nie miał daru wymowy, więc trybuna w Izbie Parów nie mogła być dlań polem żądanej popisu. Chcąc przeto wyjść gwałtownie na widownię świata, Chateaubriand wziął pióro do ręki i napisał w r. 1817 sławną swoją książkę pod tytułem: *De la Monarchie, suivant la Charte*.

Czytając ją dzisiaj, znajdujemy w niej jedynie rozwlekłość i nudę; w owe czasy zdawała się gwałtowną — ze względu na sprzeczność wyobrażeń, zachowawczych i rewolucyjnych naprzemian, których w niej pełno, i z powodu cierpkich zarzutów przeciw ministerium księcia Richelieu'go. Nakoniec, co musiało dopełnić miary, to oskarżenie króla, z powodu uniwersału 5 Września, albo o brak szczerości, albo o brak osobistej niezależności od ministerium. Kończąc, groził ucieczką do broni i zapowiadał, że jego książka posłuży za pakule do fuzji.

Na takie *dictum acerbum*, naturalnie, że ministerym odpowiedziało, jak zwykle, złożeniem z urzędów i odebraniem pensji — co znowu jest środkiem najdotkliwszym kary; a dla Chateaubrianda, zawsze potrzebniejszego, był to cios śmiertelny. Nie spodziewał się go zapewne, myśląc: Nie będą śmieli!

„Poszedłem go odwiedzić i pożałować—powiada p. de Vitrolles.—Znalazłem go posepnym, co było jego zwyczajem, a zaś świeży wypadek usprawiedliwił to jaknajzupełniej. Był on przecież więcej zafrasowany stratą pieniężnych środków, niżeli wysokich godności. Nagle zwrócił się ku opróżnionym półkom ogromnej biblioteki. „Widzisz — powiedział mi solennym głosem — sprzedałem dziś rano wszystkie moje książki, aby zapłacić rzeźnika!... Nie wiem już, jakie spodziewał się on zrobić na mnie wrażenie temi słowy—dodaje autor,—ale ja doznałem jedynie politowania nad nim“.

„Było mi to tembardziej przykre — mówi dalej autor pamiętników,—gdy się dowiedziałem wkrótce, że Chateaubriand, wyrzekając się wszelkiej godności charakteru, on, co się tak ostro nadstawił w swej książce—dziś uciekł się do wszelkich środków, aby zawiadomić księżąt, żonę księcia d'Artois i księżnę Orleańską matkę, a przede wszystkim Monsieur, (księcia d'Artois) o swym niedostatku, który dla każdego innego, byłby rzeczywistym dobrobytem. Tym sposobem pobierał od nich znaczne bardzo summy.

„Jednego poranku, wyczerpawszy środki i usługi osób, otaczających księżąt, przyszedł do mnie. Twarz, zamysłoną zwykle, miał bardziej ponurą, niż kiedy; przy pierwszych słowach, które mi zapytywałem go o zdrowie żony wziął je zaraz za powód do uzalania się nad swoją — jak ją nazywał—nędzą:

— Jest bardzo, bardzo cierpiąca. Doktorowie kazali jej pić mleko osłicy; a ja nie mam 1,000 fr., aby kupić osłicę!

„Pomyślałem zaraz w duchu, że nie było potrzeby kupować osłicy, aby mieć szklanek mleka. A potem chciałem już sięgnąć do szuflady i ofiarować mu tę sumę nakupno osłicy; ale się zreplektowałem po chwili namysłu: zrozumiałem, że on nie po to zapewne przychodził do mnie. I rzeczywiście zaczyna mię prosić, abym się wstawił do *Monsieur* i wytłómaczył mu w jaksmutnej znajduje się on, Chateaubriand sytuacji. Przrzekłem mu to chętnie i tegosamego wieczora byłem u księcia.

— I cóż, mój przyjacielu—mówił książę—co mi przynosisz dzisiaj?

— Nic ważnego, mości książę.

— Ale przecież?

— Widziałem dziś rano Chateaubrianda.

— I cóż powiada Chateaubriand?

Opowiedziałem wówczas księciu jego smutne położenie i powody jego udawania się do mnie.

— A no, powiedział książę, każdego więc dnia potrzeba z nim zaczynać nanowo.

— Ale-ż książę wie dobrze, że potrzeba jedzenia z każdym się dniem ponawia.

— Bardzo dobrze; ale-ż to kieszeń dziurawa!

— Kieszeń to dziurawa: zapewne, jeśli tak chce książę, lecz gdy nie ma nic w kieszeni, co to znaczy: czy ona dziurawa lub nie?

— Zauważ, mój kochany, ja nie ściępię tego, co się ciągle powtarza, bo to ma zaraz podobieństwo do stałej pensji. A ja, skoro tylko widzę, że pensja nadchodzi, to zaraz wywracam koziołka!

„Wyrażenie to księcia zdało mi się i nieszlachetnym i niestosownym, ale można je było wybaczyć temu, kto dawał więcej, niż mógł, a zostawszy królem, rozdawał rokrocznie, do 5 milionów, na różne pensje i datki. Nazajutrz Chateaubriand odebrał 6,000 fr. na kupno osłicy.

„Wydawcą „Geniuszu Chrystyanizmu“ i innych dzieł Chateaubrianda był wówczas niejaki p. Lenormand. Pewnego dnia gdym był w redakcyi *Przeglądu zachowawczego*, któryśmy założyli jako organ konserwatystów rządowych, oznajmiono mi wizytę tego wydawcy; przychodził on przestawić mi niezmierny swój kłopot z powodu niesłychanych, jak mówił, wymagań Chateaubrianda, za dzieło małej bardzo wartości literackiej, pod tytułem: *Memoryał o życiu J. O. Księcia de Berry*. Autor żąd-

ał za nie ogromnej sumy 24,000 fr. Najznakomitsza nawet sprzedaż tej broszury — ciągnął dalej wydawca — nie zdoła pokryć podobnych kosztów. Ale nie chce stracić tak świetnej klienteli, jaka jest p. Chateaubriand, i dla tego przychodzi prosić WPana, abys raczył użyć swego wpływu—Chateaubriand był jednym z redaktorów naszego *Przeglądu*—i skłonić autora do zniesienia swych wymagań co do honorarium.“

„Bez najmniejszego wahania się odrzuciłem żądanie Lenormanda, mówiąc mu, że nigdy nie pozwolę sobie nakładać na dzieła takiego pisarza, jakim był Chateaubriand—innej ceny nad tę, jaką, on sam wyznacza. Trochę skonfudowany wydawca zaczął się usprawiedliwiać i tłumaczyć w następujący sposób:

— Myśmy zrobili obrachunek p. Chateaubrianda, i pokazało się, że ilość sum wypłaconych mu przez nas od czasu jego powrotu do Francji wynosi przeszło milion sto pięćdziesiąt tysięcy franków!

— Pokazuje to jasno—odpowiedziałem, że wazsze zyski musiały być ogromne; czy obrachowaliście je również? A przecież to jego pracę i jego geniuszem stały się one tak znacznymi—i dziś wy chcecie targować się z nim? Zapłać, zapłać p. Lenormand, wszystko czego żądają od ciebie i więcej nawet, jeśli będą żądać.

„I tak, nie licząc jego wielkich przychodów z poselstwa w Londynie i w Rzymie—i jako Ministra Spraw Zagranicznych, nie można rachować na mniej, jak dwa i pół, do trzech milionów, summy, którą Chateaubriand pochłoniął. Stanowi to cześć oddaną jego talentowi i chwałę naszej epoki, która tak sownie opłacała swoich pierwszorzędnych pisarzy, wtenczas kiedy autorowie tak zwanego *wielkiego stulecia*, zaledwie mogli wyżyć ze skromnej pensji opłacanej im od dworu.

„Trzeba dodać i to, że żaden z pisarzy przed Chateaubriandem nie był obsypywany tak hojnie i pieniędzmi i chwałą. Wszystko to było strwońione, i z wyjątkiem chyba tego czasu, kiedy zajmował wszystkie urzędy, nigdy on nie wyszedł ze swego chudopacholstwa.

„Ci, którzy starali się wytłómaczyć ten dziwny arcy-fenomen jego ekonomii domowej, utrzymują, że szafa, w której poeta składał swoje worki z pieniędzmi, stała wiecznie otworem dla wszystkich; żona jego, sekretarz, służący, któremu były poruczone domowe wydatki — czerpali z niej dowolnie i bez żadnego rachunku. Ale to nie starczy jeszcze do rozstrzygnięcia tej kwestyi i przyjdzie chyba uwierzyć, że nic tak kosztownego nie wymaga utrzymania, jak świetna wyobraźnia.

Na tem kończymy wyjątki z tych ciekawych pamiętników p. de Vitrolles'a.

Od wyobraźni promiennej do rachunków ścisłego rozumu, od rozrzutności pańskiej do skromności filozofa, przejście w rzeczywistości jest dosyć trudne — ale na kartkach kronikarskich, wszystko to się spleta i wiąże w harmonijną całość. Tutaj, robiąc ten skok, mamy ten zysk, że rzucając sławnego Francuza, przechodzimy do znakomitej osobistości polskiej.

Na posiedzeniu Akademii Nauk Moralnych i i Politycznych w Paryżu, 19 Kwietnia, p. Leon Say, znany ekonomista i były minister finansów, ofiarował uczonemu zgromadzeniu, w imieniu p. Augusta Cieszkowskiego, nowe wydanie jego książki, pod tytułem: „*du credit et de la circulation* (Pierwsza edycja wyszła w r. 1839).

P. Say w następny sposób streścił swoje uwagi nad dziełem naszego ekonomisty. Pewna część myśli i pojęć, wyrażonych w tej książce, przez p. Cieszkowskiego, przy jej pierwszym ukazaniu się na świat—tych naprzykład, które się tyczą *kredytu gruntowego* (*credit foncier*), *listów zastawnych*, *ulepszenia kredytu hipotecznego*, stała się już dzisiaj rzeczą powszednią — dzięki jemu samemu Wołowskiemu i innym ekonomistom, którzy rozpowszechnili u nas (t. j. we Francji) sposoby i środki używane oddawien dawna w krajach północno-wschodnich Europy. To, co autor tak doskonale wyraził, będzie temu lat czterdzieści pięć, *o bankach wymiennych, o trudnościach monetowych naszej epoki; o prawdopodobnem niżeniu*

*wartości drogich kruszców*—zostało również sprawdzone *de facto*.

Ale, inaczej się dzieje z teorią najmilszą p. Cieszkowskiemu: z teorią wexłów procentowych, albo biletów skarbowych (*Bons de Trésor*) wypuszczanych przez rząd w formie banknotów, mających się stać nową monetą, z wartością legalną (*cours légal*) i przynoszącą procent na korzyść posiadającego taką monetę. Tęgod rodzaju papiery, według p. Cieszkowskiego zapewnianoby, umieszczanie kapitałów, w chwili, gdyby był zbytek gotówki, a przeciwnie stawałyby się samą gotówką, w razie jej niedostatku.

P. Say nie sądzi, aby ta myśl dała się uskutecznić. Największą niedogodnością monety, stworzonej w formie banknotów skarbu, jest to, iż ona musi konieczni i wyłącznie pozostać monetą krajową, (*nationale*). Owóż, w naszych czasach niezbędnym przymiotem każdej monety, jako też walorów zastawnych i przemysłowych wyrobów—jest łatwość ich wywozu za granicę. Ażeby dziś, kraj jaki mógł osiągnąć najwyższego szczybla ekonomicznego rozwoju, aby się mógł oprzeć wszelkim krachom—potrzeba, aby jego moneta, jego kapitały, jego wyroby, mogły być zawsze, w każdej chwili, natychmiast, że tak powiem, wywiezione za granicę państwa, i zużytkowane na cele, do których były przeznaczone.

Ta okoliczność, ten punkt widzenia, który w r. 1839 był podrzędnym, za dni naszych, dziś, należy pierwszorzędno znaczenia i stał się głównym warunkiem pomysłowości państw. Te uwagi, dodał nakoniec p. Say, nie przeszkadzają bynajmniej dziełu p. Cieszkowskiego, być istotnie ważnym: słuszne też podziękowanie należy się autorowi za jego wyborną pracę.

## NAUKA JĘZYKA CZESKIEGO.

(„Sposób nauczania się po czesku w ośmnastu lekcjach“, podany przez Pawła Byczkowskiego. — „Grammatyka Czeska“ przez Ignacego Szasteckiego).

Podróznicze i literackie stosunki między nami i Czechami, coraz zwiększające się, wytworzyły wśród publiczności naszej chęć poznania języka czeskiego. Brak odpowiednich podręczników stał temu dotąd na przeszkodzie: teraz przecież otrzymujemy ich dwa, każdy innego rodzaju. Książka p. Byczkowskiego jest to metoda ułożona bardzo prosto, ze szczególnym względem na praktyczną stronę najłatwiejszego i najprędszego nauczania się języka pobratymczego, więc i tak łatwego do poznania, skoro się tylko da uczącemu klucz, do rozpoznania różnic między naszym a czeskim językiem. Autor *Sposobu nauczania się poczesku* — przetłómaczył dosłownie dwie czeskie powiastki, dodał do tego pewną ilość reguł grammatycznych, tych mianowicie, w których język czeski najwięcej odstępkuje od naszego, i według tej jego metody można się rzeczywicie w czasie bardzo niedługim wyuczyć języka czeskiego o tyle, aby książki czytane rozumieć i nawet nieco poczesku pisać. Wiemy, że kilka zdolnych uczennic p. Byczkowskiego, nauczyło się w kilkunastu lekcjach języka czeskiego, otwierając sobie skarbiec jego literatury, która coraz wyżej się rozwija i ma takiego poetę, jak Jarosław Wrchlicki. A przytem panie nasze w czasie letnich wycieczek do Czech odznaczają się tem pocziwie, że gdzie tylko można: w sklepach, w hotelach, poniemiecku mówić nie chcą, jak można polsko-czeską rozmowę prowadząc, więc i dla nich także książka p. Byczkowskiego powinna być dobrym nabytkiem.

*Grammatyka Czeska* p. Ignacego Szasteckiego jest książką zupełnie innego rodzaju, przeznaczoną dla osób, które chcą język czeski naukowo studyować, a że dotąd mieliśmy tylko króciutką grammatykę czeską Władysława Tomka, przetłómaczoną już kilkanaście lat temu, zatem podręcznik naukowy tego rodzaju, jak *Grammatyka* p. Szasteckiego, był u nas bardzo pożądanym i dlatego wydany on został kosztem *Kassy Zapomogi* Imie-

nia Mianowskiego. Szkoda przecież, że autor, który się tej potrzebnej pracy podjął, nie dość obeznany z postępowaniem dzisiejszej metody porównawczej w nauczaniu języków, nie zwrócił dostatecznej uwagi na fonetykę języka czeskiego, wymagając objaśnień w pewnych nieprawidłowościach swoich, a szczególnie, że nie wykazał stosunku naszych nosowych dźwięków do zastępujących je w Czeszczyźnie samogłosek, co byłoby dało uczącemu się pewne pojęcie ogólnej zasady odmian w deklinacjach i koniugacjach. Że przytem nie odróżnił on liczby mnogiej od podwójnej i pomieszał je ze sobą, powstał ztąd zamęt, i dalej w skutek ogólnie niedokładnego opracowania praw głosowni, autor *Gramatyki* zmuszony był wykazać sto kilkadziesiąt słów nieregularnych, co jest rzeczą przestraszającą, zwłaszcza dla osób dorosłych, taki ogromny bagaż w pamięć sobie wpakować. Jeżeli też uczeń młodszy, nie będąc miał przy nauce *Gramatyki* p. Szasteckiego zdolnego i według zasad nowszej lingwistyki wykształconego przewodnika, któryby najpierw krytykę książki sobie zrobił, i dopiero na podstawie własnego systematu naukę uprzystępiał; uczeń starszy jeżeli sam dla siebie tego nie uczyni, nauka prawideł gramatycznych, podanych bez wskazania zasady, która niemi rządzi, stanie się ciężką, trudną i nudzącą do tego stopnia, że odstraszyc może nawet bardzo chętnych i bardzo pracowitych. Dzisiejsza nauka języków na to się właśnie wysila, aby mnóstwem suchych formuł pamięci nie obciążać, ale opierając ją na pewnych języka prawach ogólnych, dać uczącemu się jak-gdyby nie przewodnią, która-by mu pozwoliła na rozum rzeczy brać i rozumem a nie pamięcią się ich uczyć. Czesi właśnie posiadają doskonałe w tym kierunku opracowanie swego języka, dokonane przez Szafarzyka, Hanka, Kwietka i wielu innych. Autorowi *Gramatyki Czeskiej* trzeba było tylko do tych dobrych źródeł się zwrócić.

W przedmowie do *Gramatyki* wskazuje on przecież, że miał na myśli przy pisaniu książki swojej uczniów już dojrzałych, pragnących poznać język czeski dla dzieł jego literatury, należało też tem więcej wykład nauki oprzeć na metodzie rozumowanej.

Nie ma to jednak wcale znaczyć, że nauka młodzieży nieletniej ma być inną. Aby uczenie się języka gramatyczne nie było duszącym inteligencją ciężarem i szkodą pedagogiczną — aby młodzież nie uczyła się języków wzorem papug i szpaków, tępiąc umysłowo pod nawałem nudnego i suchego przeladowywania pamięci, nauka gramatyki musi koniecznie opierać się na zasadzie pewnych ogólnych praw języka, co będzie wypierać z niej wyjątki, które, jeżeli nie są przestarzałymi formami języka, wynikają z praw jego fonetyki i nigdy osobnego, suchego materiału dla pamięciowej jedynie nauki nie tworzą. To też przy takiej nauce, uczeń nie tylko może, ale musi myśleć; ztąd też staje się ona miłszą, łatwiejszą i usuwa owe dawne, a niegdyś niewątpliwie słuszne zdanie, że ludzie posiadający wiele języków są ludźmi płytkiej inteligencji. Dobrze prowadzona nauka gramatyki tak może umysł rozwijać, tak może mieć swoje znaczenie formalne, jak wszelka inna, dobrze pokierowana, i nie w formułach pamięciowych podawana umysłowi. Należy też koniecznie rodzicom to zrozumieć, że nie jest wcale obojętną rzeczą, kto i jak dzieci ich uczy: znaczy to tyle prawie jak — czego je uczy?

Mimo wad dzieła p. Szasteckiego, jest to jednak jedyny w tym rodzaju podręcznik, jaki posiadamy, i trzeba przyznać, że autor z wielką starannością zgromadził w książce swojej wszelki możliwy w tym zakresie materiał porządkowej i gruntownej nauki czeskiego języka. To też uczeń roztropny i w kierunku lingwistycznym już wykształcony, przy pewnym wprawdzie trudzie i mozole, może jednak potrzebną mu wiedzę z książki tej wynieść, wdzięczny autorowi za to, że mu to wszystko zebrał i do ręki podał.

Sposób nauczania się po czesku w 18 lekcjach, trzeba by pomówić o wadę w kierunku odwrotnym, bo tu autor prawie zanadto wszelki, najlżejszy nawet trud chce z przed uczącego usunąć, i w przekładzie swoim dwóch nowelek te nawet

wyraży tłumaczy, które każde polskie ucho samo przez się już rozumie, przyczem p. Byczkowski nierządkiem się cofa do staropolszczyzny, lub przez złożenie dźwięków blizkoznacznych w polskim i czeskim języku, usiłuje zrozumienie czeskiego wyrazu w umysł uczącego wdroić. Takie wyręczanie uczącego się w myśleniu, takie myślenie za niego, byłoby niewątpliwie błędem pedagogicznym metody p. Byczkowskiego, gdyby jego książka nie była przeznaczoną głównie dla dorosłych, bo obecnie nauka języka czeskiego nie wchodzi u nas jeszcze w edukację młodzieży i uczyć się go przeważnie osoby, pragnące zapoznać się z literaturą pobratymczego narodu przez uczucie sympatii, która coraz-to silniej zbliża do siebie te dwa szczepy Sławiańszczyzny Zachodniej, ściślej ze sobą połączone przez kierunek jednakowej starej cywilizacji, i stopień jej podniesienia. To więc, cośmy z jednej strony jako błąd p. Byczkowskiemu wytknęli, staje się z drugiej wielkim książką jego przymiotem, bo niezmiernie to jest łatwy i bardzo przyjemny sposób, w który nauka języka czeskiego bez trudu, bez mozole, a nawet bez żadnego zachodu naukowego, przez jego metodę nam się dostaje.

M. I

## Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Maju 1884 r.

Zdrojowiska krajowe. — Przewodnik do wschodnich Karpat. — Wystawa obrazów Matejki. — Wyższa szkoła żeńska. — Chemia w gospodarstwie kobiecym. — Nowości literackie. — Jan Kochanowski przez Lucyana Tatomira. — Kronika z życia Mickiewicza, przez Belzę. — Wzorowy sekretarz przez Sabowskiego, — Potomkowie Hetmanów, komedya, przez Wdowiszewskiego. — Ofiarność obywatelska.

(Dokończenie).

Przejdźmy do literatury. Mamy przed sobą kilka nowości zasługujących na uwagę. Z okazji jubileuszowego lata wydał Lucyjan Tatomir monografią: *Jan Kochanowski*, opowiadanie z XVI wieku, z wizerunkiem poety. Celem autora w pracy niniejszej było, jak sam wskazuje w przedmowie, popularne zaznajomienie czytającej publiczności z treścią i duchem pism nieśmiertelnego Jana Kochanowskiego, o którym, pomimo licznych cześcieli grona, pomimo, że krytyka i historia literatury zajęły się ostatnimi zwłaszcza czasy rozpatrzeniem pism jego i stanowiska autorskiego w umysłowym rozwoju epoki, nie można przecież twierdzić, aby tak był znanym w szerszych kołach czytelników, jak na to głęboka treść jego pism i dziejowe znaczenie literackie zasługuje. Zachęcić te szersze właśnie koła do bliższego poznania znakomitego poety czasów Zygmunta jest zadaniem niniejszego opowiadania. Nie chodziło autorowi o rozwinięcie nowych poglądów na literacką działalność Kochanowskiego, ani o wzbogacenie biografii jego nieznanej dotąd szczegółami, ani nawet o wyczerpującą osnowę dzieł jego: chciał on tylko na podstawie nowszych studyów krytycznych, jak również szczegółów zestawionych wprost z pism poety skreślić obraz jego życia i działania na tle społecznych wypadków najświetniejszej doby dziejowej.

Tatomir to pisarz wytworny, umiejący każdy przedmiot, którego opracowaniem się zajmie, rozpatrzeć naukowo, zbadać gruntownie, objąć szerszym poglądem i wreszcie podnieść wykwintnością stylu i żywym kolorytem. Wszystkie te cechy pięknego a wytrawnego pióra znajdujemy w pracy niniejszej. W pierwszym rozdziale T. kreśli wiek Kochanowskiego w obrazie w szczupłe ujętym ramy, a niemniej przeto wyczerpującym i wymownie barwnym. Trudno treściwiej, wyraziściej

i z głębszym zrozumieniem rzeczy skreślić obraz czasu z całym wirum krzyżujących się i wzajemnie na siebie wpływających prądów politycznych, umysłowych i religijnych. W dalszym ciągu roztacza autor cały przebieg życia Kochanowskiego i rozpatruje poezyje jego koleją szczegółową w tym porządku, jak je poeta tworzył, objaśnia krytycznie, wskazuje wpływy i okoliczności pod jakimi je tworzył, i przytacza dosłownie wybitniejsze ustępy. Kochanowski i dzieła jego przedstawiają się w ten sposób w charakterystycznym, umiejętnie rzuconem świetle, a dobrane ku temu wyjątki z jego poezyi odpowiadają zupełnie celowi rozbudzenia ciekawości w szerokich kołach do pozajomienia się dokładniej z pismami Jana Kochanowskiego, stosunkowo mało znanymi ogółowi, pomimo, że przyzwyczailiśmy się tradycyjnie czcić Kochanowskiego, ale po większej części tylko na wiarę słów cudzych, przeczytawszy zaledwie parę trenów na śmierć Urszulki, lub kilka innych, co piękniejszych wyjątków, powszechnie znanych.

Nakładem tejsamej księgarni Seifarth'a i Czajkowskiego wyszła *Kronika z życia A. Mickiewicza*, potoczna i anekdotyczna, ułożona przez Władysława Belzę. Jest to książka złożona z samych urywkowych wyjątków, często kilku lub kilkunasto-wierszowych, wybranych z pism i wspomnień rozmaitych osób, mających styczność z Mickiewiczem, które jakakolwiek o nim wzmiankę pozostawiły. To mnóstwo wypisów, uwag różnorodnych, mniej lub więcej znanych, tworzy mozaikę zestawioną porządkiem chronologicznym, luźnie i dorywczo, bez spojenia w jakakolwiek całość obrazową. Szczegóły przemawiają same za siebie, nadają koloryt i tworzą wizerunek. Belza jest dobrym kompilatorem. czego i w dawniejszych swych dowiódł wydawnictwach. Pilny szperacz, wyszukuje gorliwie najdrobniejsze szczegóły, odpowiednie zamierzonemu celowi, które są ukryte po kartach starych dzienników, lub grubych ksiąg, gdzie w pogoni za niemi dużo potrzeba nieraz poświęcić czasu i energii. Trud ten wszakże opłaca się sownie plonem literackim. Mickiewicz to najjaśniejsza i najsympatyczniejsza postać na widnokręgu naszej poezyi i literatury, a wszystko cokolwiek go dotyczy, najdrobniejszy szczegół, bądź z życia potocznego, znamionujący duszę i usposobienie poety, bądź odnoszący się do pism jego, do rozwoju potężnego geniuszu w przeróżnych, jakimi się objawiał, kierunkach, jest i pozostanie zawsze drogą pamiątką dla każdego z polskich czytelników. Któż nie sięgnie ciekawie z bijącym sercem po książkę, w której spodziewa się znaleźć razem zgromadzone wspomnienia o Mickiewicz, przechowane w rozrzuconych wspomnieniach pp. Odyńca, Chodźki, Domejki, pani Góreckiej, Alex. Niewiarowicza i wielu, wielu innych? Trafnie zauważał jeden ze znakomitych pisarzy, którego słowa przytacza pan Belza we wstępie do swojej książki, że gdyby Niemcy, Anglicy lub Francuzi byli rodakami twórcy *Pana Tadeusza*, przetrzasnęliby go do nitki, zważyli na drachmy, wyzyskaliby do ostatniej kropli essencją myśli, zgola usypaliby mu mogiłę z książek. Wydanie niniejsze ozdobione jest dwoma, bardzo udatnemi, portretami, mianowicie: Mickiewicza z czasów młodości i *Maryli*, będącym kopią z oryginalnego wizerunku, który był niegdyś w posiadaniu Mickiewicza, zdjętą przez przyjaciela i wieloletniego towarzysza poety, Alexandra Niewiarowicza, który ją obecnie udzielił p. Belzie dla przyozdobienia książki tą cenną pamiątką.

Pomiędzy wydawnictwami księgarni Gubrynowicza i Schmidta pojawił się *Wzorowy sekretarz*, zawierający wzory listów, odnoszące się do wszystkich stosunków powszedniego życia. Obce języki posiadają zbiory tego rodzaju wyczerpujące, obejmujące grube tomy, w których każdy nienafający własnej twórczości, znajduje gotowy wzór, według którego *mulatis mulandis*, z małym wysiłkiem fantazyi, może załatwić listownie sprawę serca lub kieszeni. U nas amatorowie i amatorki korespondencyi musieli się dotychczas wyłącznie prawie posługiwać własnym konceptem, albowiem

dawniejsze podręczne zbiory tego rodzaju są bardzo niedostateczne, obejmując bardzo szczupły zakres stosunków mogących być przedmiotem listownego porozumienia się. Pod tym względem zbiór wydany obecnie przez księgarnię Gubrynowicza przewyższa o wiele dawniejsze; mieści bowiem listy obfitej, różnolitej treści, odnoszącej się do potrzeb i stosunków wszystkich warstw towarzyskich. Obszerny jest dział korespondencji handlowej, bardzo przydatny; podobnie jak liczne wzory podań do władz i urzędów, sprawozdań służbowych i t. d. i t. d. Książka poprzedza obszerny wykład prawideł dobrego pisania listów, skreślony przez Władysława Sabowskiego, który głównie się zajął ułożeniem tego podręcznika korespondencyjnego i znaczną część pomieszczonych w nim listów napisał. Uzupełnieniem dalszego ciągu zajmowali się pp. Belza i Kleczewski. Co zaś szczególnie jęszcze podnosi wartość niniejszego podręcznika, to dodatek końcowy, zawierający zbiór listów oryginalnych najznakomitszych naszych pisarzy, jak np. listy Zygmunta Krasieńskiego do synów, Odyńca, księdza biskupa Ignacego Krasieckiego, Kremera, Hofmanowej, odznaczające się pięknosciami stylu, podniosłością myśli, humorem, i w ogóle zaletami, stanowiącemi dobrą szkołę dla osób, chcących nabyć prawdziwie pięknego stylu i wprawy w pisaniu listów treści poważniejszej.

W teatrze przedstawiono temi dniami nową komedią Wdowiszewskiego: „*Potomkowie Hetmanów*.“ Ma to być, podobnie jak inne dawniejsze utwory sceniczne tegoż autora, komedia tendencyjna, dążąca do poprawy jednej z warstw społecznych, a jest właściwie satyrą, czyli raczej paszkwilem, na szlachtę, pełnym zjadliwej goryczy i jak-najczarniejszemi nałożonym kolorami. Można mieć wiele do zarzucenia szlachcie i wiele dałoby się jej wytknąć rozmaitych przywar i błędów, można zresztą, jak p. Wodziszeński serdecznie jej nienawidzić, bo to rzecz gustu i osobistych skłonności; ale, chcąc poprawiać społeczeństwo, potrzeba przede wszystkim zapatrywać się na nie bez namienności stronnicy i umieć je malować w świetle prawdziwym. Odsądzać od czci i wiary wczambuł całe warstwy społeczne: znamionuje to zawsze zbroczenie wzroku, bielmem namienności przyćmionego. Takiej szlachty, jaką przedstawia nam p. Wodziszeński, nie ma nigdzie na świecie. Nie są to bowiem zdjęte z natury i umiejętnie odtworzone typy rzeczywiste, ale jakby z drewna, według optycznych przywidzeń autora, szablonowo wysturugane łątki, poruszające się bez życia—postacie głupie, wstrętne, i niebywałe, służące jedynie autorowi do wylania swej żółci, z jaką pogląda na te wrzekomo potomków hetmańskich sfery. Według autora rozum musi być importowany z zagranicy; jakoż dwaj bohaterowie sztuki, mający służyć za wzór społeczeństwu, przybywają z zagranicy, gdzie, wychowani, nabrali tych zdrowych poglądów i wiedzy praktycznej, którą usiłują zaszczerpić na jałowej glebie rodzimego społeczeństwa, przez popieranie przemysłu, jako jedynej podstawy cywilizacji i dobrobytu. Zgadza się zupełnie, iż podniesienie przemysłu, rękodzielnictwa i dobrobytu ogólnego jest rzeczą pożądaną i do uszlachetnienia każdego społeczeństwa znacznie się przyczynia; ale żeby, jak chce mieć autor komedii, to jedno miało być najwyższym celem i hasłem ludzkości i prac społecznych, wobec którego wszystkie inne blednieją i gasną, aby założenie garbarni, albo wiercenie w poszukiwaniu galmanu miało zbawić ludzkość i być najwyższym dążności jej kresem—na to się zgodzić żadną miarą nie możemy, i nie zdołałaby nas o tem najzręczniejsza przekonać argumentacja, na scenie, czy poza sceną. Komedia Wdowiszewskiego jest zresztą, jako dzieło sceniczne, bardzo słabym utworem, nie posiadającym, ani żywo, z zajęciem prowadzonej akcji, ani artystycznie związanej budowy, ani dowcipu mogącego powetować niedostatki powyższe i ożywić przynajmniej dialog, przepełniony alluzjami tendencyjnemi, które go czynią ciężkim i niesmacznym. Tendencja w sztuce, jeżeli ma odnieść pożądany skutek, musi wypływać mimowiednie z samej treści dzieła, — pociągając i przekonywać żywością i prawdą kolorytu, dosadnością

rysunku; musi działać, że tak się wyrażę, magnetycznie na uczucie i przekonanie widza. Jeżeli zaś zawrze się, tak jak tutaj, w zjadliwych alluzjach i moralizowaniu, natenczas pozostaje bezskuteczną, albowiem, zamiast przekonać, budzi niesmak i nuży.

Że jednak nie jest jeszcze tak źle z naszym społeczeństwem, jak się wydaje patrzącemu na nie przez czarne okulary komedyopisarzowi; że potępione przezeń warstwy nie są tak dalece, jak sobie wyobraża, pozabawione wszelkiego szlachetniejszego gruntu; można by w wskazać na każdym kroku przykłady, nie z chorowitej wyobraźni autorskiej, ale wprost z życia czerpane; z nich jeden, najświeższy, na zakończenie dzisiejszego listu przytoczyć sobie pozwolę. Z nowym rokiem dotknęła, jak wiadomo, Galicyę, katastrofa, mogąca około czterdziestu tysięcy rodzin włościańskich pozbawić całego mienia i pozostawić na pastwę rozpaczliwej nędzy. Katastrofą tą był z dawna przewidywany upadek *banku włościańskiego*, utworzonego przed laty kilkunastu za pobudką spekulanta giełdowego który, objawszy naczelną kierunek zakładu, schowany za parawaną złożoną według jego własnego wyboru dyrekcyi, rozwinął na wielką skalę systemat lichwiarskiego wyzyskiwania ludności włościańskiej kruczkami, omijającemi przepisy statutu.

Nie będę tutaj wyluszczał całego systematu podstępnie skombinowanych operacji tego, ohydnej pamięci banku, który, sposobem przysławionym, oddawna *garbarnią skór włościańskich* u nas nazywano. Nie troszczono się w nim bynajmniej o oględność w udzielaniu pożyczek: przeciwnie, chcąc jak najwyższe lichwiarskie pozyskać dochody, szafowano niemi bez dostatecznego zabezpieczenia, nie bacząc na zaprzepaszczanie kapitału, byle tylko na razie jaknajwięcej wyciągnąć lichwy, która następnie topniała w postaci sówicie obliczanych płac, tanytem, remuneracyi, dywidendy, tudzież w grze giełdowej, samowolnie funduszami bankowemi prowadzonej. Postępowanie takie musiało w końcu zakład doprowadzić do upadku. Nie pomogły sztucznie z roku na rok układane bilanse; bank runął a obdłużone włościanstwo pozostawił na pastwę wierzycieli, posiadających obligacye zakładu. Aby nieporadnego włościanina zasłonić od ciężkich skutków katastrofy, przez przeprowadzenie likwidacyi drogą ugody z wierzycielami banku, zawiązał się komitet obywatelski, który sprawę likwidacyi ujął w swe ręce. Wszelako dla przeprowadzenia ugody z wierzycielami potrzeba było na pierwszą zaraz chwilę znacznego kapitału, na zaspokojenie spłat umówionych. Komitet udał się do rządu o pomoc finansową w drodze pożyczki; lecz gdy wysłana w tym celu do Wiednia deputacja odmówiła przywiozła odpowiedź, oznajmił należący do składu komitetu, hr. Artur Potocki z Krzeszowic gotowość dostarczenia z własnej kieszeni do rozporządzenia komitetowi 200,000 guldenów, a przedtem jeszcze spłacił w zastępstwie włościan swego powiatu cały ciężący na nich dług bankowy. Za tym szlachetnym idąc przykładem, oznajmili podobnie inni członkowie komitetu gotowość przyczynienia się z swej strony także odpowiedniemi kwotami do uzupełnienia funduszu, potrzebnego dla przeprowadzenia likwidacyi bez pomocy rządowej. Jest to piękny, godny pamięci czyn ofiarności obywatelskiej.

Władysław Zawadzki.

## Rodzina. — Mały świat serca <sup>1)</sup>.

— Pókiśmy młodzi, zdaje nam się, że po szczęście trzeba biedz w świat, z latami przecież każdy dzień wykazuje nam to silniej, że szczęście zamyka się między czterema ścianami.

— Na sto spotykanych ludzi, którychbyśmy zapytali: — Co się dzieje? każdy prawie zacznie się rozwodzić, jak źle jest na świecie. Ale rzadko się zdarzy jeden taki, któryby miał serce zawołać:—Czuje się nieszczęśliwym w domu!

— Nie Bayard, nie Cyd jest dla mnie wzorem odwagi, ale taki mąż, któryby otwarcie, szczerze, lecz bez żartu powiedział: — Nie pójdę tam, bo moja żona tego nie chce....

— Najpotężniejszym władczą na świecie jest kobieta, która kocha i cierpi.

### Rada dla młodej żony:

Czyn wszystko wedle woli męża i nie sprzeczasz się z nim nigdy; gdyby siedm razy na dzień zmienił zdanie, i ty je zmienisz siedm razy; odpowiadaj jego miłości całą siłą twojej duszy, i nie ukrywaj błogości doświadczonego uczucia—ale nie pochlebiaj mu nigdy, bo każdy szlachetnie dumny mężczyzna czuje wstręt do tego.

Staraj się, aby mężowi było dobrze w domu, aby dom ten był czysty i spokojny; bądź zawsze wesolą i pogodną twarzą; niech nie słyszy nigdy w ustach twoich gniewnie krzykliwego słowa, nawet na najgorszą służbę; gościa, którego chętnie w domu swym widzi, przyjmuj i ty uprzejmie; nie broń nigdy mężowi szlachetnej mężkiej rozrywki, nie wpytaj go długo: gdzie idzie? z kąd wraca? i nigdy, przenigdy nie zdradź się z zazdrością. Choć w duszy każda żona jest zazdrosna o męża, przecież serce jej powinno ufać mu i wierzyć wtedy nawet, gdy własne jej oczy i uszy oskarżają go. Niech nie widzi on nigdy u ciebie zapłakanych z zazdrości oczu—ale ty sama strzeż się kokieterii, którą naodwrot zazdrość w nim budziła! Broń to jest obosieczna i nikt nie wie jak i kogo zranić może.

— Żona powinna się przyznać mężowi do tego co ją boli i niedopuszczać nigdy, aby cierpienia wyrzuciło do niego ze zmienionych rysów jej twarzy. Zastarzały ból serca wyrabia w nim sobie ranę głęboką, która się może potem nigdy już zupełnie nie zagoić, a zawsze szramę po sobie zostawi. Nie jedno szczęście małżeńskie przepadło w ten sposób: wytworzyła się zaciętość, lub humory skwasowały się nazawsze i szczęście uciekło.

— Łatwo jest przeprosić kobietę, która się gniewa, płacze, krzyczy, nawet bije i drapie, ale jak przeprosić tę, która milczy i niczem nie zdradza, co jej serce cierpi?

— Są oczy, które mówią, ale są też oczy, które milczą.

— Zona jest nieraz taką własnością męża, jak gdyby ją od Turka w Stambule kupił, czy w całości przecie? Duszy, serca ani kupować, ani sprzedawać nie można.

— Niema cięższej boleści nad uczucie, żeśmy kogoś na cierpienie skazali.

— Kobieta młoda tak fantazyjuje:— Ten, który mnie do tego doprowadzi, abym mu powiedziała: — Kocham cię!... musi posiadać wszystkie cnoty, które mężczyznami się zowią. Musi być pięknej postawy, niezaniebujący swojej powierzchowności, ale też i nie elegancik, któryby w zwierciadłku się przeglądał. Oblicze jego powinno mieć wyraz szlachetny, czoło być wyniosłe, głos mieć dźwięki, które grzmiały i szepczą; powinien umieć strzelać, doskonale konno jeździć i bronią wszelką władać—przy tem wszystkiem nie ma on być jednak awanturnikiem i dzikim człowiekiem. Koniecznie musi umieć dobrze mówić, znać się na poezji i sztuce i posiadać taką naukę, aby go wszyscy poważali, jako umysł niepospolity. Dowcip w rozmowie jest pożądany, ale nigdy gruby i płaski, a przedewszystkiem nie taki, aby rumienił kobietę, bo to daje dowód złego wychowania i częstego przebywania w złem lub niskim towarzystwie. Także dowcip przesadny, silący się na to, aby był dowcipem, lub raniący sarkazm nie podoba się nigdy kobiecie. Również i zazdrośnikiem być mu nie wolno, jakkolwiek żądam, aby mój ukochany miłość swoją całą duszą okazywał i nie udawał obojętności. Wymagam także od niego przymiotów dobrego gospodarza, bo to też należy do męskiego rozsądku—jednym słowem powinien on umieć mi

1) Z Yokay'a: Przez czterdzieści lat,

rozkazywać i razem umieć mnie słuchać, ale te wszystkie przymioty za główną podstawę to nie odwołalnie mieć muszą: aby niższym odemnie nigdy i w niczem nie był, aby nie on odemnie godność brał, ale on mnie w godność odziewał i samem nazwiskiem swoim uszanowanie ludzkie mi sprowadzał.

— Małe pomieszkanko najściślej łączy ze sobą ludzi, którzy się prawdziwie kochają i ubogi robotnik, który z żoną swoją w jednej izdebce mieszka, z jednej misy z nią jada, z jednej szklanki z nią pija, jest szczęśliwszy niż wielu innych mężów.

— Wszystko, co człowiek na świecie posiada, opuszcza go z czasem i zostaje mu tylko kobieta kochająca. Dzieci muszą sobie niezależne stanowiska wyrabiać i odlatują też z gniazda, gdy im skrzydła podrosną i tego, który nie ma kochającej go kobiety, starość skazuje na smutną samotność serca.

— Dobra żona, dobre dzieci, dobrzy rodzice, co za skarby na ziemi! Ale szacowniejszym skarbem jest dobra przyjaciółka duszy naszej.

— Świat serca jest zawsze tensam, tylko oświecenie się zmienia. Po ognisku palących promieniach słońca, przychodzi łagodnie świecący księżyc i rozkosz nam sprawia. Wtedy tylko posępnym i smutnym jest świat, gdy zapanuje wkoło nas ciemność.

— Cierpienia serca zarówno gniją najbogatszego, jak i najuboższego człowieka. Król i żebrak są wobec nich równymi sobie.

— Praca jest najlepszym i jedynym lekarstwem na ucieszenie żalu serdecznego.

## Kronika działalności kobiecej.

— W czasie trwania tegorocznej wystawy inwentarza odbywać się będą w gronie delegacji sędziów narady, co do hodowli wystawianych zwierząt domowych. Dla działu drobiu wyznaczone zostały dwie referentki. Na pytanie:—Czy wprowadzenie ras drobiu zagranicznego wpływa dodatnio lub ujemnie na jego hodowlę?—odpowiadać ma p. J. Ryxowa. Na pytanie:—Czy znajdują się u nas ziemianie, którzyby prowadzili wyług drobiu sztuczny?—odpowie p. J. Schürrowa. Obok tego działu drobiu ma jeszcze dwóch referentów mężczyzn. W dziale tym jako rzeczoznawczynię zaproszone zostały do składu sędziów panie: Handkowa, Krzymuska i Szańkowska.

— W Paryżu istniejące towarzystwo opieki nad wypuszczonymi z więzień kobietami, którego prezydentką jest obecnie Karolina de Barrau, a sekretarką Wiktorya Gai-Gentil, zostało zaliczone pomiędzy zakłady użytku publicznego i otrzymało subwencji 3,000 franków: a to od ministerium spraw wewnętrznych 1,000 franków rocznie, tyleż od gminy Paryża i Rady generalnej departamentu Sekwany. Więzienia paryzkie kobiecie były bardzo długo szczególnie opuszczone, i to wtedy jeszcze, gdy już więzienia mężczyzn korzystały z nowożytnego systemu filantropijnych ulepszeń. W 1865 r. Paulina de Grandpré pierwsza z kobiet swego narodu podjęła dzieło tego miłosierdzia; w „Monitorze“ i książce zatytułowanej: „Condammées de St Lazare“, dopominała się dla nich litości ludzkiej i 1870 r. zawiązało się towarzystwo, obecnie działające pod tyt.:

„Oeuvres de Libérées de St Lazare“, przyjmujące pod opiekę swoje wszystkie kobiety, wychodzące z wielkiego paryzkiego więzienia dla kobiet św. Łazarza. Stowarzyszenie daje wypuszczonym opiekę i dostarcza im pracy, rzadko kiedy wspomaga gotowemi pieniędzmi i najczęściej udziela jałmużny w odzieży i kwitach na artykuły spożywcze. W przeszłym miesiącu towarzystwo wydało 2,000 takich kwitów.

Wielkiem dobrodziejstwem, spływającym na te nieszczęśliwe jest to, że pochodzącym z prowincji dostarczany jest sposób dostania się z powrotem do domu. W roku zeszłym towarzystwo otrzymało pozwolenie komunikowania się z uwięzionymi i uczenia ich czytać, pisać i t. d. I to już jest korzyścią nie małą, że panie stowarzyszone mogą poznać dobrze charakter uwięzionych przed ich wypuszczeniem na wolność. W tym samym roku również towarzystwo, otrzymawszy legat 20,000 franków po zmarłej stowarzyszonej, Antoninie Saile, postanowiło otworzyć dom czasowego przytułku dla dzieci uwięzionych, lub w domu badań zatrzymanych kobiet.

— Współdzielce towarzystwa robotnic igły: szwaczek, krawczyń, magazynerek wyrabiających stroje — zawiązanem zostało w Turynie pod szlachetnym wpływem, pomocą i zachętą signory Marietty Ferraris. Włoskie robotnice w tym dziale pracy, zarabiają bardzo mało, mniej niż w Anglii, niż we Francji i pragną zaradzić temu ruch objawił się zeszłego roku między nimi w Turynie także. Zebrane razem na naradę, namyślały się nad polepszeniem nędznego swego losu, ale prasa miejscowa zamiast dać poparcie temu usiłowaniu, przez jedne organa swoje szdydziła z „sejmu szwaczek“, gdy inne zachowały się biernie i rzecz poszła w zapomnienie, aż ją podźwignęła obecnie zacna filantropka, i dziennik „Dovere“ donosi o zawiązaniu się wyżej wymienionego stowarzyszenia. Centralna pracownia już została otwarta i wszystkie te robotnice, które najmniej przez 6 miesięcy należeć będą do stowarzyszenia, mają prawo być tam przyjęte po złożonym egzaminie z uzdolnienia. Każda z robotnic będzie płatna wedle umowy i przyjętej normy cen, a w końcu roku nastąpi podział zysków; prócz tego stowarzyszenie urządziło kasę funduszu na niespodziewane wypadki, kasę funduszu na wsparcie chorych pracownic, oraz funduszu na emeryturę dla starych. Energia, takt i razem dobre serce signory Ferraris, w połączeniu ze szczerem garnięciem się do stowarzyszenia robotnic Turynskich, zapowiada pomyślny skutek. Wyżej wymienione pismo, przytaczając rozmowę założycielki z redaktorem, przytacza takie jej słowa: „Kto zna dobrze ubogą robotnicę włoską, wie, że jest w niej niemniej uczciwości i cnoty, niż między kobietami klas wyższych“.

— Kobiety uczęszczające na wykłady medyczne Uniwersytetu Wiedeńskiego, są przypuszczane podobnie jak studenci mężczyźni na wykłady prywatne, ale są wykluczone z zebrań klinicznych profesorów, jak Billrotha, Karola Braun i innych. Żadna kobieta nie była jeszcze doktoryzowana przez wydział medyczny Uniwersytetu Wiedeńskiego.

— Londyńskie pisma, a głównie, bo dwukrotnie *Times*, podniosły głos, aby kommissya badająca pomieszkania klas robotniczych w Londynie, powołała do współdziałania w pracy swojej miss Oktawię Hill, która to filantropka od lat 15-stu zajmuje się gorliwie biednymi rodzinami z klasy robotniczej i zyskała sobie w tym kierunku wysoką zasługę obywatelską. Ponieważ nigdy dotąd kommissye tego rodzaju nie były mieszane, nieuczyniono zadość głosowi prassy.

— Przewrót w edukacji kobiet świata muzulmańskiego, rozpoczęty w Indyach, dokona się ostatecznie przez Konstantynopol, gdzie mają być wkrótce otwarte szkoły miejskie dla dziewcząt. Obok wykształcenia elementarnego, uczennice będą się uczyć pożytecznych w życiu domowym i przemyśle rzemiosł, oraz otrzymają pewne wykształcenie handlowe. Sam Sułtan przyjął opiekę nad temi szkołami; na dwieście uczennic, które będą po 9 szylingów miesięcznie, sto będzie wolnych od opłaty.

— Przy postępach cywilizacji i europejskich pojęć w Egipcie, potrzeba zajęcia się losem niewolnic, które wolność pozyskały, stała się naglącą. Sir Ewelin Baring zajął się sprawą wzniesienia dla nich w Kairze domu przytułku, gdzieby znalazły najpierw schronienie, a następnie ułatwiony sposób do życia wolnej już pracy. Królowa angielska zapisała się na sumę 100 funtów, Gladstone i lord Granville złożyli każdy po 20 funtów, a żona Kediwa obiecała ze swojej strony wszelką możliwą pomoc. Nubar-Basza wraz z żoną wszedł do komitetu zawiązanego w Kairze przez Baring'a: komitet ten ma gałąź swoją w Londynie, na którego czele stoi angielska filantropka Mrs Sheldon Amos.

— W parlamencie Stockholmskim postawiony został wniosek przez posła do Izby Niższej, Borga, aby kobiety szwedzkie i norweżkie, zostały przypuszczone do głosowania i otrzymały prawo wybieralności. Izba Wyższa, której wniosek najpierw przedstawionym został, odrzuciła go; w Izbie Niższej po długich i przez wiele mówców podnoszonych rozprawach upadł on także, mniejszością 44 głosów przeciw 53.

— Sprawa głosowania kobiecego do sejmów i parlamentów, nigdzie nie robi postępu i obecnie znany literat amerykański Joachim Miller pisząc o tem do dziennika „Philadelphia Press“, zdaje sprawę z niewieściego meetingu, który zebrał się w tym celu w Waschingtonie. Tysiąc kobiet zapełniało ogromną salę, a dwadzieścia dziewięć występowało z mowami. Główną mówczynią była Zuzanna Anthony, zdająca zebrałym sprawę ze stanu rzeczy. M ss Anthony otrzymała żądane posłuchanie od prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale jedynym słowem zachęty z jego strony był grzeczny, przecież nic nie przyrzekający i nie objaśniający komplement, że kobieta, gdy jest wytrwała, zwykle otrzymuje wszystko, co jej się należy „A women when she persits, generally gest all she deserves“. Mężczyzn było przytomnych około dwudziestu. Miller dodaje tu, że kobiety Stanu Massachussets ogłosiły przez pisma publiczne, iż bynajmniej nie pragną dla siebie praw głosowania, więc zatem panie agitujące w Waschingtonie nie przedstawiają bynajmniej kobiety amerykańskiej w pełnem tego słowa znaczeniu, i tak właśnie odzywały się kobiety Stanu Massachussets, który przecież należy do najbogatszych i najwyższej ucywilizowanych, najmocniej amerykańskich Stanów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Natchnienie i Miłość**. oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Z krwawych dni**.

**TREŚĆ.** Estetyka barw, przez Henryka Struve'go — Na łożu śmierci, (poezya), przez Kr. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Nauka języka czeskiego, przez M. I. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Rodzina. — Mały świat serca. — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 16 Мая 1884 года.